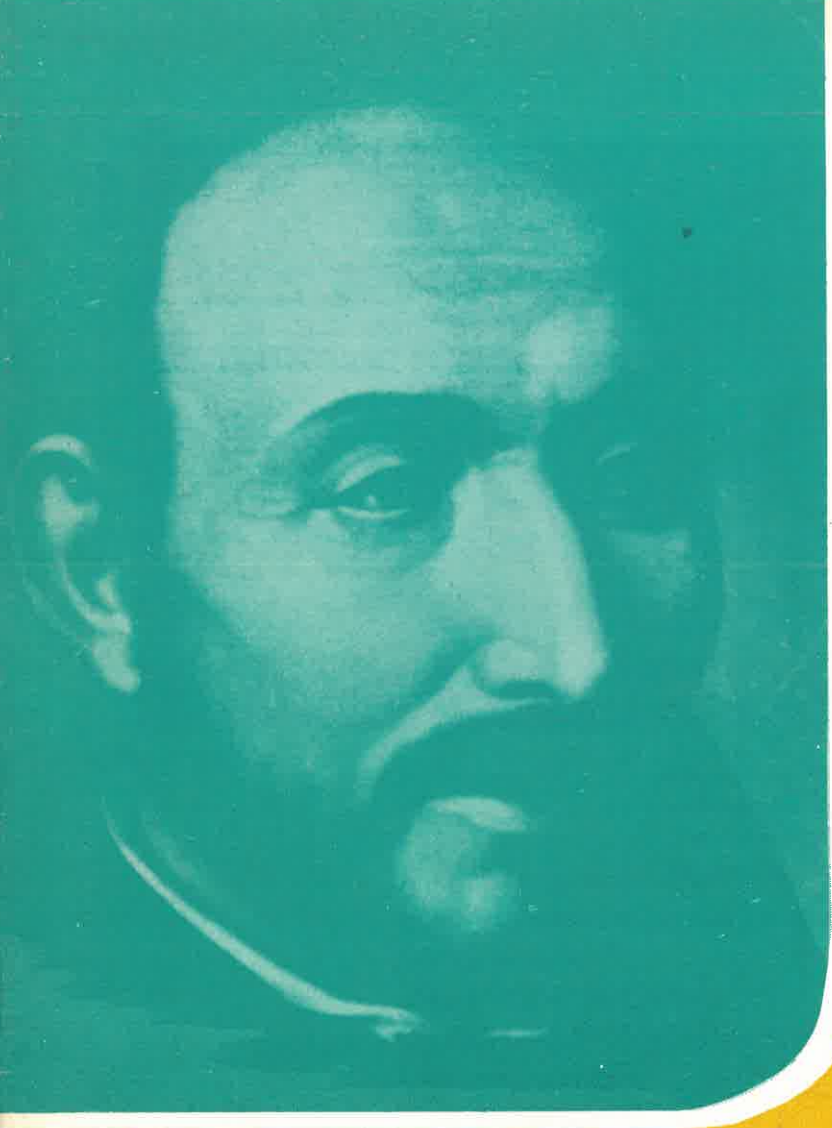
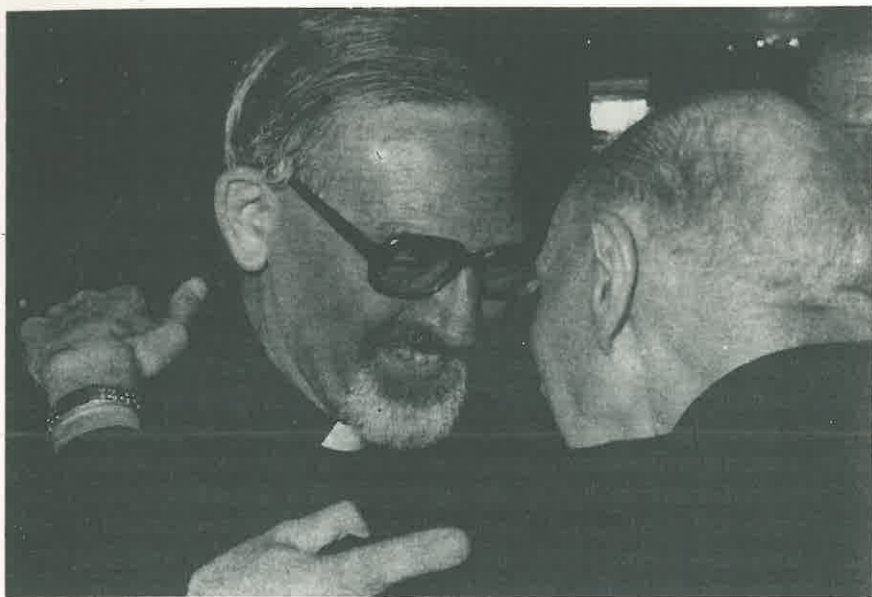


(1)
październik
1985



JEZUICI NASZE **WIADOMOŚCI**



**Moment głębokiego wzruszenia
Pierwszy generał w naszej historii
oficjalnie opuszcza swój urząd
i błogosławi swojemu następcy.**



JEZUICI NASZE **WIADOMOŚCI**

(1) październik 1985

SPIS TREŚCI

List O. Prowincjała Stanisława Opieli	2
List O. Prowincjała Bogusława Steczka	3
Historia jezuitów	5
Mój pierwszy dzień w zakonie	8
Ks. Czesław Białek SJ w służbie misjom	12
Ojciec Jan Bezym SJ	17
Czarodziejskie słowo	21
Informacje z Kościoła i Towarzystwa	24
Jesienna refleksja	27
Modlitwy	29

PRZEŁOŻONY PROWINCJI
Wielkopolsko-Mazowieckiej
Towarzystwa Jezusowego

Narbutta 21, 02-536 Warszawa
tel. 48.22.23; 49.65.83

Warszawa, 1985-09-22

Troska o podtrzymywanie i pogłębianie istniejących więzi skłania nas do wydawania specjalnego biuletynu przesnaczonego dla rodzin, z których pochodzą jezuiti oraz dla osób, które stały się nam wszystkim w jakimś momencie bliskie. Za jego pośrednictwem chcemy dzielić się naszymi ideałami, radościami i troskami, naszą duchowością ignacjańską i historycznym dziedzictwem, wreszcie wiadomościami z życia i działalności Towarzystwa.

Ufamy, że biuletyn podtrzyma i pogłębi już istniejące związki a także przyczyni się być może do powstania nowych.

Stanisław Opieła SJ

Stanisław Opieła SJ
Prowincjał



PROWINCJA POLSKI POŁUDNIOWEJ
TOWARZYSTWA JEZUSOWEGO

Mały Rynek 8
31 - 041 KRAKÓW
Tel. (012) 22 - 24 - 77

Kraków, 23 września 1985

Polscy jezuiti, podobnie jak i ich współbracia rozsiadani po całym świecie, głosząc Ewangelię "całemu stworzeniu" - żyją i pracują w kręgu bliskich sobie ludzi: krewnych, przyjaciół, współpracowników, dobroczyńców. Z nimi właśnie chcą dzielić się swoją historią i planami na przyszłość, swą duchowością i problemami pracy apostołskiej.

Zdajemy sobie sprawę, że często wiadomości o życiu zakonu docierające z innych źródeł są skąpe, niepełne lub zniekształcone. Stąd z radością witamy inicjatywę systematycznego informowania Naszych Przyjaciół o życiu i pracy Towarzystwa Jezusowego w świecie i w Polsce.

Bogusław Steczek SJ
ks. Bogusław Steczek SJ
Prowincjał



Jako jezuita – spadkobierca wielkich tradycji – pragniemy ukazać początki i rozwój naszego zakonu. Historia jezuitów zawsze fascynowała. Ignacy Loyola, założyciel zakonu, jego pierwsi towarzysze, styl życia i pracy, ich sukcesy stały się przedmiotem wielu badań, wielu opracowań i publikacji. Ich duży wpływ na życie religijno–społeczno–polityczne fascynuje do dzisiaj, czego przykładem są liczne ekranizacje tematów, w których niepoślednią rolę odgrywają członkowie tego zakonu.

Na przestrzeni czterech wieków jezuita mieli potężnych przyjaciół, ale mieli także i wielkich wrogów, co w 1773 roku doprowadziło do kasaty zakonu. Krótki okres kasaty (31 lat) nie przeszkodził jezuitom w powrocie do wielkich tradycji i do dzieł ongiś prowadzonych.

Dzisiaj jest ich około 26000. Pracują w ponad stu państwach. Prowadzą aktualnie 8 obserwatoriów astronomicznych, 17 instytutów geograficznych, 20 stacji sejsmograficznych, 17 radiostacji, kilka szpitali. Posiadają szeroko rozbudowaną na całym świecie sieć szkolnictwa od podstawowego aż do wyższego: Prowadzą 53 uniwersytety, 380 różnego rodzaju szkół średnich i zawodowych, około 4300 szkół podstawowych. Ich wykładów słucha blisko 20000 studentów. Z ich wydawnictw wychodzi rocznie około 1000 książek i ponad 1000 czasopism redagowanych w 62 językach. Ich pieczy powierzone jest od chwili powstania Radio Watykańskie, nadające obecnie swój program w 44 językach. Ogółem około 600 jezuitów poświęca się w sposób wyłączny twórczej pracy w radiu, telewizji i kinematografii, należąc do wielu specjalistycznych organizacji międzynarodowych.

W Rzymie prowadzą znany Uniwersytet Gregoriański wywierając dzięki temu ogromny wpływ na formację intelektualną i duchową najlepszej, wybranej kadry duchowieństwa katolickiego – często przyszłych biskupów i członków kolegium kardynalskiego. Dla 2400 słuchaczy z całego świata wykładają tam 120 jezuitów różnych narodowości. Niezależnie od tego kierują jezuitami Papieskim Instytutem Biblijnym, założonym przez Piusa X w 1909 roku oraz Papieskim Instytutem Studiów Wschodnich, założonym w 1917 roku przez Benedykta XV.

Formy działania zakonu są bardzo różnorodne: od katechizacji dzieci po katedry naukowe, od prac charytatywnych w Krajach Trzeciego Świata i slumsach wielkich metropolii po nowoczesne szpitale i instytuty badawcze, od prac w różnego rodzaju organizacjach międzynarodowych (m. in. w ONZ) aż po występy znanego francuskiego jezuitę O. Duvala, piosenkarza i gitarzysty, który w ten właśnie sposób postanowił wypełnić swą apostolską misję, lub występy grupy amerykańskich jezuitów (Royal Liechtenstein One Quarter – Ring Siderwalk Circus), którzy w tym samym apostolskim celu jeżdżą po Stanach Zjednoczonych, dając w starym wozie cyrkowym przedstawienia będące próbą połączenia popisów cyrkowych z klasycznym moralitetem.

Jezuici tej miary co de Lubac, Danielou, Bea... przygotowali swą twórczością grunt pod Sobór Watykański II. Współ z innymi teologami stworzyli ferment intelektualny, który oddziałł w sposób zasadniczy na klimat soborowy w dyskusji i wycisnął piętno na soborowych dokumentach. Ktoś zdążył obliczyć, że trudne teologiczne prace O. Karola Rahnera zostały przetłumaczone na większą liczbę języków niż utwory jego rodaka ... Goethego. Milionowe natomiast nakłady dzieł Teilharda de Chardin biją od dawna rekordy popularności w dziedzinie klasyki filozoficznej.

Towarzystwo Jezusowe żyje i pracuje, jak się to zdaje na pełnych obrotach...

HISTORIA JEZUITÓW

Przeszłość miał zakon tyleż chwalebna co burzliwą. Zatwierdzony w roku 1540 przez papieża Pawła III bullą *Regimini Militantis Ecclesiae* liczył w chwili powstania zaledwie 10 członków. Po szesnastu latach, w chwili śmierci św. Ignacego Loyoli, posiadał już 12 prowincji, 100 domów i około 1000 człon-

ków; w 100 lat później liczba jezuitów przekraczała 16000. Zakon od początku zdumiewa operatywnością i rozpiętością podejmowanych inicjatyw. Jeszcze za życia św. Ignacego, rozjechawszy się po całym świecie, docierają jezuita do Indii, Afryki, Brazylii; stają u wrót Japonii, myślą o Chinach. W Europie trudno o kraje, w których nie rozwijałoby swej działalności. Wszędzie zadziwiają zdolnością adaptacyjną i umiejętnością wnikania w lokalne kultury, uczą się języka, poznają i szanują miejscowe zwyczaje, zmieniają strój i sposób życia. Krzewią oprócz chrześcijaństwa kulturę materialną i duchową, dzielą się posiadaną wiedzą. W Chinach np. stają się mandarynami, budząc dla swej wiedzy szacunek i podziw cesarza, który powierza im opiece cesarski kalendarz. W Pekinie budują pierwsze w Chinach obserwatorium astronomiczne. W Paragwaju zakładają słynne *Redukcje* – komunistyczne republiki Guaranów, które z czasem przekształcają się w samowystarczalne indiańskie fortece, co wzbudziło tak wielką zawiść kolonistów europejskich, że w niedługim czasie doprowadzili do ich likwidacji. Mimo różnorodnej oceny z jaką spotykają się dziś owe *Redukcje*, ich kulturowe i cywilizacyjne znaczenie jest niekwestionowane.

Ale nie tylko misje są domeną ich działalności. Kilku wybitnych jezuitów z Laynezem na czele pełniło w tym czasie obowiązki ekspertów na Soborze Trydenckim (1545–1563). W gorącym okresie zajadłych sporów teologicznych, jezuita zadziwiają nie tylko wiedzą i gorliwością apostołską, ale również spokojem i umiejętnością wzniesienia się ponad drobiazgowy spory doktrynalne.

cdn.

zieloną plamę placu kościelnego i pamiętam, że było na niej bardzo ślisko. Kiedy wybiegliśmy kłusem spod parasoli wielkich lipowych liści, deszcz zabębnił o nasze plecy. Dostrzeżono nas już jednak z furty i w drzwiach witał nas znany nam obu z obozu powołaniowego „Ojciec Magister”. Przywitał nas z rozłożonymi ramionami i razem schroniliśmy się we wnętrzu przycienionej furty. Każdy dom zakonny ma swój specyficzny zapach. Ten kojarzył mi się z kadzidłem i głębią jakiejś chłodnej zakrysti. Było około godziny 14.00–tej. Dowiedzieliśmy się, że inni przybyli już przed nami. Najpierw zaprowadzono nas do jadalni.

To, co nastąpiło potem, umknęło mojej pamięci. Myślę o kilku następujących chronologicznie godzinach. Pamiętam, że po obiedzie nie wprowadzono nas jednak zaraz do nowicjatu, ale byliśmy jeszcze jakiś czas z rodzicami, jedząc z nimi razem „na kształt gości” koło furty. Spaliśmy z ojcem razem, w pomieszczeniu, które potem okazało się salką i poletkiem działania „anioła” – starszego nowicjusza, przydzielonego do wprowadzenia w pierwsze arkana tych najnowszych. Dziś odnoszę wrażenie, że obaj z Ojcem zachowywaliśmy się wtedy tak, jak gdybyśmy mieli obaj wstępować do zakonu. Robiliśmy wrażenie dwóch sycylijskich chłopów w czarnych ubraniach i białych koszulach, którzy znaleźli się razem w nieznanym wielkim mieście i dla których wszystko nagle stało się odświętne. Dopiero rano okazało się, że jest nas jedenastu. Pierwsze spotkanie wszystkich nastąpiło na wspólnej Mszy św. z nowicjatem. Po dzwonku przed 7–mą szliśmy z ojcem do kaplicy nowicjackiej w szumie sutann maleńkich i puciołowatych „księżyków”, którzy pojawiali się nie wiadomo skąd, zza każdego rogu korytarza i zmiierzali w absolutnym milczeniu w tym samym, co my, kierunku. Ta Msza w piątek, 9 sierpnia, utkwiała mi szczególnie w pamięci przez fakt, że byłem na niej jedynym, który nie poszedł do Komunii św. Czułem, jak mrowie idzie mi od czubków palców od nóg aż do czubków palców od rąk i czubka głowy, słyszałem zachęcająco–ponaglający szept mojego Ojca i naszego „anioła”, ale uznałem, że nie mógłbym przystąpić do Komunii św. tak „z marszu”. Nie był to kaprys, ani też skrupuła. Do dziś nie wiem, czy dobrze zrobiłem wtedy, zawstydzając i Ojca i siebie. Ale chyba dobrze. Postąpiłem zgodnie z sumieniem, nie licząc się z opinią ogółu. O tym, że fakt ten wstrząsnął moim Ojcem, świadczy jego pierwsze pytanie po przyjsciu do naszego małego pokoiku: – „Stasiu, dlaczego nie przystąpiłeś do Komunii św?” – „Nie mogłem, tato”. – „Dlaczego nie mogłeś?” „Wydawało mi się, że nie mogłem”. Wspominam to teraz ku przestrodze ojców odwożących swoje pociechy w podobnych kierunkach, aby byli gotowi na wszelkie niespodzianki. Mój Ojciec zachował się z god-

nością. Jakoś postarał się o kontakt z „Ojcem Magistrem”, a ten poszukał mi spowiednika, gotowego rozproszyć moje wątpliwości. Był i tak piątek, dzień spowiedzi nowicjackich, ale trudność polegała na tym, że było to o 10 rano. Spowiednik okazał się przekochanym „dziadziem”, już gotowym, zanim wejść do jego pokoju, wysłuchać każdego rodzaju popełnionej przeze mnie zbrodni. Po wysłuchaniu wszystkiego, z absolutnym spokojem „przeszedł do porządku”, nad wszystkim, co usłyszał i udzielił mi rozgrzeszenia. Wyszedłem lekki jak ptak i w bezwiedny sposób powtórzyła się historia sprzed 10 lat, kiedy Ojciec wziął mnie sflakanego po pierwszej spowiedzi, odbytej „zupełnie świętokradzko” i zawiózł ponownie 4 km do kościoła, gdzie namówił innego księdza na „drugą pierwszą spowiedź”. Zrobił to w obu wypadkach w podobny spokojny sposób, a nawet za drugim razem jeszcze spokojniej niż za pierwszym. Dopilnowawszy tej sprawy upewniony, że pozostawia mnie uspokojonego wewnątrz, wyjechał jeszcze tego samego przedpołudnia. Na schodach przed klasztorem, na samym odchodnym, powiedział mi z całą prostotą: – „Gdyby nie matka, pozostałbym tu razem z tobą”... Uśmiechnąłem się, może nawet uśmiechnąłem się pobłaźliwie, jak gdyby rozumiejąc nierozumność tej wypowiedzi. Niczego jednak wtedy nie rozumiałem. Rozumiem to dopiero teraz, po 17 latach, gdy o tym piszę.

Ojciec nie odjechał na długo. Po dwóch tygodniach był u mnie z powrotem na obłóczynach w sutannę. Siedzieliśmy sztywni, jeszcze w „cywilu”, ważniejsi o te 2 tygodnie. Wyglądaliśmy jednak świeżo, może zwłaszcza ja, z tą absolutną pewnością tych, którzy jeszcze niczego nie wiedzą. Pamiętam z tego długiego śniadania, po jakim nastąpiła ceremonia obłóczyn i nasza gimnastyka z trzymaniem sutann rękami na schodach i ciężkimi upadkami (bez złamań jednak), że mama mojego kolegi rozptakała się na mój widok. Powtórzyło się to potem jeszcze kilkakrotnie: jakoś dziwnie mój widok pobudzał kobiety do płaczu.

Wszystko to nie zmienia faktu, że mój ojciec i „dziadzio spowiednik” byli prawdziwymi bohaterami mojej pierwszej doby w zakonie.

ks. Stanisław



Zakon od początku miał charakter misyjny. Potwierdzają to pierwsi misjonarze zakonu jak: Franciszek Ksawery, Matteo Ricci i inni. Rys misyjny jest wciąż żywy i dzisiaj, wielu młodych opuszcza swoją ojczyznę, aby daleko od kraju żyć i pracować dla innych.

Z okazji Światowego Dnia Misyjnego (20 października) przedstawiamy pracę O. Czesława Białka, polskiego jezuitę, który w sposób wsłaniały a zarazem tak prosty umiał połączyć rys misyjności z pracą duszpasterską w kraju.

KS. CZESŁAW BIAŁEK SJ W SŁUŻBIE MISJOM

Ks. Czesław Szymon Białek urodził się 18 lipca 1920 r. w Warszawie, jako syn Piotra i Zofii z Kowalskich. Jego dziad ze strony matki, Ksawery Kowalski, za swoją działalność niepodległościową, został po rewolucji w 1905 r. zesłany na dożywotni pobyt na Syberię. Ks. Czesław Białek godność Polaka i honor Ojczyzny stawiał zawsze bardzo wysoko. Twardy styl życia jaki sobie narzącał, uzasadniał tym, że jest wnukiem Sybiraka. Jako dziesięcioletni chłopiec stracił matkę. Ośmioletnią naukę rozpoczął w gimnazjum w Warszawie, potem w gimnazjum księży jezuitów w Wilnie. Po skończeniu VI klasy w 1936 r. wstąpił do zakonu jezuitów i po odbyciu dwuletniego nowicjatu w 1938 r.

dalszą naukę pobierał w liceum dla kleryków jezuickich w Pińsku na Po-
lesiu. Na początku wojny dotarł do Warszawy, gdzie najpierw był uczniem
liceum prowadzonego przez braci dolorystów, a następnie w r. 1940 zdał
maturę na tajnych kompletach. Znalazłszy się wraz z innymi klerykami w No-
wym Sączu, za pozwoleniem przełożonych wstąpił do Armii Krajowej.
Brał udział w akcji charytatywnej na rzecz ofiar wojny, uczestniczył w taj-
nym nauczaniu, w akcji ratowania Żydów z getta nowosądeckiego, czego
omal nie przypłacił życiem. Uczestniczył w akcji pomocy dla więźniów
obozów koncentracyjnych. W lipcu 1944 r. po ukończeniu I roku teologii
wyjechał do Warszawy. Już w początkowej fazie walk powstańczych został
ciężko ranny w nogi. Cudownie ocalony w szpitalu przy ul. Płockiej, przewie-
ziony został do Podkowy Leśnej, a następnie do szpitala w Skierniewicach,
gdzie zastało go wyzwolenie. Za udział w powstaniu i za działalność w cza-
sie okupacji został kilkakrotnie odznaczony. Po wojnie aż trzynastą razy
podejmowane operacje miały mu przywrócić sprawność nóg. Niestety, nigdy
to nie nastąpiło. 16 kwietnia 1950 r. otrzymał z rąk ks. prymasa Stefana Wy-
szyńskiego święcenia kapłańskie. W 1951 r. rozpoczął w Poznaniu pracę
duszpasterską, a równocześnie podjął studia na Uniwersytecie Poznańskim.
W okresie stalinowskim był więźniem politycznym, trzykrotnie skazanym
za przynależność do AK. Przez wiele lat był misjonarzem parafialnym i pro-
wadził szereg misji Serca Jezusowego w diecezji gorzowskiej, warmińskiej,
pelplińskiej, łódzkiej, płockiej, a częściowo także i w innych diecezjach.
Wyczerpujący tryb życia, a przede wszystkim pobyt w więzieniach spowo-
dowały odnowienie się starych ran, tak że w 1971 r. trzeba było amputować
lewą nogę. Mimo aż tak złego stanu zdrowia ks. Białek zdołał jeszcze zrobić
doktorat z antropologii. Od 1974 r. poruszał się już wyłącznie na wózku
inwalidzkim, nie przerywając jednak swojej działalności. Był nadal czyn-
nym duszpasterzem.

Najbardziej jednak pochtaniała go praca misyjna, a jego zainteresowania
misyjne sięgały niemal dzieciństwa. Jako kleryk przewodniczył w kółku
misyjnym i wygłaszał prelekcje w różnych seminariach, np. w Krakowie,
gdzie w 1951 r. ukończył studia teologiczne. Mimo, że przykutym do wózka
inwalidzkiego, czynnie uczestniczył w sympozjach i spotkaniach misyjnych;
nawiązywał nowe kontakty, służył radą, deklarował pomoc, którą świad-
czył na rzecz krajów misyjnych nieprzerwanie od 1970 r. Ks. Białek gło-
sił, że z wszelką działalnością ludzką łączy się czynnik materialny: Misjo-
narze muszą wznosić świątynie, organizować szkoły, zakładać szpitale, przy-
chodnie lekarskie, domy opieki dla sierot, starców czy trędowatych, pomagać

wszelkiej nędzy, która panoszy się szczególnie wśród narodów Trzeciego Świata. W wywiadzie udzielonym w 1976 r. w Radiu Watykańskim, na temat pomocy świadczonej na rzecz misji, powołał się na słowa afrykańskiego kardynała Zoungrana, który wówczas odwiedził Polskę i w Częstochowie powiedział, że w Afryce głoszenie Ewangelii powinna poprzedzać działalność, która by faktami potwierdzała naszą miłość do drugiego człowieka. Pomoc, świadczona przez ks. Białka pozwalała misjonarzom w pełni realizować miłosierdzie chrześcijańskie. W początkowym okresie przesyłki zawierały lekarstwa, odzież i żywność i były kierowane głównie do polskich misjonarzy w Indiach, Indonezji, Zambii, Burundi, Paragwaju. Gdy w 1974 r. głód w rejonie Sahelu (Mali, Czad, Górna Volta, Mauretania, Senegal, częściowo Kamerun) osiągnął swój szczyt i ludzie umierali setkami tysięcy, dyrektor Komisji Misyjnej Archidiecezji Poznańskiej, ks. Czesław Pawlacyk, zwołał poszerzone posiedzenie Komisji w sprawie pomocy dla Sahelu. Planowano rozszerzyć prowadzoną przez ks. Białka akcję wysyłkową, a ponadto przez prasę katolicką uaktywnić społeczeństwo do bezpośredniej wysyłki paczek. Zaczęły napływać do Poznania dary w gotówce i naturze. Zdecydowano zatem, by organizowaną od lat w domu zakonnym księży jezuitów w Poznaniu i w klasztorze ss. Nazaretanek w Kaliszu akcję wysyłki paczek do krajów misyjnych rozbudować pod patronatem Komisji Misyjnej Archidiecezji Poznańskiej i zakonu ojców jezuitów. Zaczęto obejmować tą akcją szersze kręgi misjonarzy, którzy zwracali się o pomoc dla swoich podopiecznych. Ks. Białek, jako członek Komisji Misyjnej Archidiecezji Poznańskiej i promotor ds. misji zagranicznych prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej Towarzystwa Jezusowego, oddał się bez reszty tej działalności. Niemal w każdą niedzielę jeździł na zaproszenie księży z odpowiednimi kazaniami do różnych parafii. Apelował w nich o włączenie się do grona ofiarodawców. Słowa jego nie pozostawały bez echa, bo często zanim zdążył odjechać na plebanię znoszono pokaźną ilość darów. W ten sposób sam stwarzał zaplecze dla swej działalności. Osobiście załatwiał wszelkie formalności wysyłkowe – znali go pracownicy urzędów celnych i pocztowych, ambasad, przedsiębiorstw przewozowych, różnych sklepów detalicznych. Docierał wszędzie tam, gdzie wymagało tego dobro sprawy, każdą prośbę misjonarza starał się zrealizować. Misjonarze bardzo cenili sobie tę pomoc, co wyrażali w licznych listach oraz zapisach do Księgi Pamiątkowej.

Ks. Białek od dzieciństwa marzył o wyjeździe na misję. Inne były jednak plany Boże. Nie pozwolono mu w swoim czasie zostać misjonarzem w Zambii, ale stał się misjonarzem obejmującym czułym sercem misję niemal w całym

Trzecim Świecie. Zambię natomiast ujrzał w 1978 r., kiedy zaproszono go na uroczystości pięćdziesięciolecia ustanowienia hierarchii katolickiej w tym kraju. O. Białek odwiedził wówczas prawie wszystkie placówki misyjne, gdzie pracowali Polacy: ojcowie jezuici, franciszkanie, księża diecezjalni, siostry służebniczki NMP ze Starej Wsi, siostry boromeuszki z Mikołowa, siostry misjonarki św. Rodziny. Po całym kraju, 2,5 raza większym od Polski, przejechał ponad 5 tysięcy kilometrów. Odwiedził seminaria, szkoły, szpitale, sierocińce, a także szpital i osiedle trędowatych w Ibendze, prowadzone przez polskiego franciszkanina z Niepokalanowa, br. Patrycego Gumienego. Na widok ludzi straszliwie okaleczonych przez trąd, czołgających się na kikutach nóg i rąk, bądź podpierających się zamiast kuli jakąś mizerną gałęzią, reagował natychmiast: bracie, przyślemy wózki inwalidzkie, kule, protezy... Po powrocie do kraju natychmiast rozpoczął zabiegi o zdobycie odpowiedniego sprzętu, który następnie wielokrotnie wysyłał.

Z roku na rok wydłuża się lista miejsc, do których wysyłano dary, dochodząc ostatecznie do liczby 42 krajów w Afryce, Azji, Ameryce Południowej, Oceanii, a nawet Europie. Transporty różnych artykułów przekraczały rocznie 100 ton.

Dary płynęły oczywiście nie tylko dla tych, którzy gromadzili się wokół misji katolickich. Wszędzie, gdzie na świecie znalazł się człowiek potrzebujący, o. Czesław spieszył z pomocą – bez względu na przekonania religijne, kolor skóry czy uwarunkowania polityczne. I tak np. po trzęsieniach ziemi kierował pomoc do Rumunii, Jugosławii, Włoch, Algierii, Kolumbii, a podczas klęski suszy – także do Etiopii, Ugandy i Tanzanii. Wspierał również nędzarzy w Wietnamie oraz Palestyńczyków w obozach na terenie Libanu, uciekinierów z Rodezji (obecnie Zimbabwe) czy Namibii.

Ks. Białek odznaczał się talentem organizacyjnym, który pozwalał mu utrzymać przez długie lata grono pomocników misyjnych.

Mimo nawału pracy utrzymywał żywe kontakty z ludźmi. Promieniował dobrocią, życzliwością, pogodą ducha. Był świetnym gawędziarzem. A widział i doświadczył wiele. Drzwi do jego pokoju często nie zamykały się od rana do wieczora. Odwiedzali go liczni misjonarze, przebywający na urlopie w Ojczyźnie. W samym tylko 1983 r. odwiedziło go 22 misjonarzy i misjonek. Ks. Białek, mimo ciężkiej już choroby, interesował się ich pracą, wielu przybiecał pomoc, notując skrzętnie najpilniejsze potrzeby, z których część została już zrealizowana, bo pod koniec 1983 r. odeszły transporty do jedenastu krajów Afryki, Azji i Ameryki Południowej. Na początku ubiegłego roku wysłano dwa transporty – ostatni z nich o. Białek poświęcił 8 lutego.

Na kilka dni przed śmiercią przygotował jeszcze wnioski o pozwolenie na wysyłkę darów do kolejnych krajów. Z dziewięcioma misjonarzami spisał specjalne wywiady, by je opublikować na łamach „Przewodnika Katolickiego”.

O. Białek wykorzystywał każdą okazję, by mówić o misjach, o pracy polskich misjonarzy, o występującej tam nędzy, głodzie, o konieczności wspomagania ich modlitwą oraz ofiarami w naturze. Chętnie wygłaszał prelekcje w seminariach, nowicjatach i zgromadzeniach zakonnych, na ogólnopolskich zebraniach katechetycznych. Zachęcał do wyjazdu na misje i często sam pomagał w załatwianiu formalności wyjazdowych. Podczas swego urlopu wygłaszał w miejscowych kościołach niedzielne kazania misyjne. Pisywał również artykuły o misjach i udzielał wywiadów do pism misyjnych. Rozprowadzał materiały misyjne: foldery, broszury, znaczki, intencje, obrazki. Wyświetlał filmy i przeżocza, m. in. własne z podróży do Zambii. W 1980 r. wydał książkę o początkach jezuickiej misji w Zambezji i udziale w niej Polaków. Nie zdążył już wydać przygotowanej do druku książki, napisanej na podstawie materiałów zebranych w czasie wyprawy afrykańskiej. Prawie na ukończeniu była jego książka o polskich opiekunach trędowatych. Propagował miesięczne nabożeństwa misyjne, wysoko ceniąc wartość modlitwy w intencji nawróceń i szerzenia Królestwa Bożego. Wiadomo, mawiał, że wiara jest łaską, a łaskę osiąga się przez modlitwę. Był jednym z inicjatorów przywrócenia w Polsce Niedzieli misyjnej.

Niemal w ostatnim dniu swego życia znalazł potwierdzenie słuszności swojej misyjnej służby: oto Ojciec Święty utworzył Fundację Jana Pawła II, której celem jest niesienie pomocy narodom dotkniętym klęską głodu i nędzy w krajach Sahelu.

Patrząc na wielkie dzieło o. Białka, wydaje się, że otrzymał od Boga szczególny dar, charyzmat apostołstwa miłości. Z niego to czerpał siłę, wśród dotkliwych własnych cierpień.

Dnia 9 marca 1984 r. Bóg odwołał ks. Czesława Białka z posterunku, ale czy śmierć przerwie dzieło, które Zmarły stworzył i któremu dał trwałe fundamenty ofiarą całego życia? Czyż misjonarze oraz ich podopieczni – ci najbiedniejsi spośród biednych – mają bezskutecznie oczekiwać od nas pomocy?

Dewizą o. Czesława było: „Pracujemy, ile się da. Na odpoczynek mamy całą wieczność”. Więc podejmijmy trud o. Białka! Teraz kolej na nas.

Elżbieta Wosicka



Rozpoczął się proces informacyjny dotyczący heroicznego życia Ojca Jana Bezymy – kapłana, jezuity, rodaka, patrioty i wielkiego misjonarza na Madagaskarze. Artykuł zamieszczony poniżej pragnie przybliżyć jego sylwetkę, ukazać jego życie i dzieło, którego dokonał.

OJCIEC JAN BEZYM

Ten tylko może zrozumieć heroizm O. Bezymy, jego czyny miłosierdzia chrześcijańskiego, kto potrafi sobie wyobrazić, jak wyglądają ludzie dotknięci trędą, chorzy o odpadającym ciele, wydający odrażającą woń, pozbawieni elementarnych środków egzystencji, odepchnięci z obrzydzeniem przez najbliższych i opuszczeni ze wzgardą przez społeczeństwo. Chorzy, z którymi początkowo zetknął się O. Bezym przebywali w zupełnej izolacji, na ponurej, rozległej pustyni. Byli to ludzie bez palców u rąk, bez stóp, niekiedy bez nosa, z rozkładającym się, zropiałym, cuchnącym ciałem, trędowaci cierpiący również na choroby weneryczne, nękani przez wyjątkowo uciążliwe insekty i ustawiczny dotkliwy głód, pozbawieni możliwości przestrzegania podstawowych zasad higieny. Ich mieszkania stanowiły walące się, spróchniałe baraki, bez jakichkolwiek sprzętów, a nawet drzwi czy okien, pomiesz-

czenia pełne wody i błota w porze deszczowej. To z tymi ludźmi O. Bezym pozostał do końca swego życia, z nimi i wśród nich.

Dokonał heroicznego wyboru, realizując swoje ponadludzkie miłosierdzie, przyjął rolę posługacza trędowatych – czarnych nędzarzy. Wspierał ich nie tylko pokrzepiającą pomocą duchową, ale także opatrywał odrażające rany, łagodził ból i obyczaje, zdobywał pożywienie i odzież, otaczał najczulszą opieką swoje „czarne pisklęta”, dążąc uparcie do stworzenia im warunków godnych ludzkiego bytowania. Był niestrudzony. Jak bardzo trzeba kochać bliźnich, ileż trzeba samozaparcia a także siły wewnętrznej, by umieć wznieść się ponad wszystko, co doczesne i dobrowolnie skazać się na śmierć, śmierć w męczarniach, strasliwą, powolną a zarazem nieuniknioną. Któż potrafi kierując się świadomym wyborem, skazać się na los trędowatego? Ileż trzeba mieć mocy, aby stłumić w sobie jęk serca, ogrom tęsknoty za krajem rodzinnym, za najbliższymi, za słowem ojczystym, lub chociażby za widokiem polskiej brzozy.

On tego dokonał – prawdziwy męczennik a zarazem święty. Nie można bowiem innymi słowami określać tego apostoła największego poświęcenia i miłosierdzia, pełnego wiary i ufności w słuszność swej idei, którą realizował, człowieka zmarłego w opinii świętości. Dlatego też, chcąc oddać należny hołd O. Bezymowi, Kongregacja Prowincjalna Ojców Jezuitów Polski Południowej uchwaliła 31 marca 1978 postulat o wszczęcie starań zmierzających do beatyfikacji O. Bezyma, prosząc ojca generała Pedro Arrupe o poparcie tych poczynań. Do wniosku przyłączyła się również Prowincja Wielkopolsko-Mazowiecka.

Podjmując tego rodzaju decyzję Kongregacja wzięła pod uwagę istniejące liczne dowody mówiące o opinii świętości O. Bezyma, a także wcześniejsze starania, jakie poczyniono, by wynieść go na ołtarze; m. in. list ojca generała Zakonu ks. Włodzimierza Ledóchowskiego z dnia 2 lipca 1936 r., skierowany do prowincjała ks. Władysława Lohna, gdzie wśród kandydatów na ołtarze wymieniono nazwisko O. Bezyma. Po zgonie wielkiego Polaka – misjonarza, w miejscowej prasie napisano: „Najpiękniejszą pochwałą tego człowieka jest to, że z miłości do Jezusa Chrystusa zabiegał, by zawsze być posługaczem trędowatych i otrzymał na to pozwolenie. Są takie przymusowe prace, na jakie nawet zbrodniarzy się nie skazuje, a O. Bezym pokochał je całym sercem”. Na grobie Ojca rosną róże. Przychodzą tu chorzy i turyści, aby się pomodlić. Ze czcią wielką wspomina się imię O. Bezyma i jego narodu. Ludzie za Jego wstawiennictwem otrzymują łaski od Boga. Wielki hołd O. Bezymowi oddał Paweł VI, który wspominał o Polaku w liście wysła-

nym do kard. Prymasa Stefana Wyszyńskiego i do Episkopatu Polski z okazji Millenium. Także Jan Paweł II na spotkaniu z rodakami w Kinshasa 4 maja 1980 r., wymienił obok bł. Teresy Ledóchowskiej i św. Maksymiliana, O. Bezymia, zaliczając go do tych misjonarzy, którzy najbardziej rozstawiili Polskę w ewangelizacji świata.

Jan Bezym urodził się 15 maja 1850 r. w majątku Bezymy Wielkie, położonym nad rzeką Chomorem na Wołyniu. Był najstarszym synem spośród pięciorga dzieci Jana Bezymia, uczestnika polskich walk powstańczych, i Olgi Stadnickiej. O dzieciństwie przyszłego misjonarza stosunkowo niewiele wiemy. Nazywano go „Tatarem”. „Ten tak bardzo charakterystyczny przydomek wziął się prawdopodobnie z tradycji rodzinnej głoszącej, że protoplasta rodu zwany Bey-Zymn walczył bohatersko przeciw Tatarom powstrzymując ich hordy, a za dowody męstwa otrzymał od książąt ruskich szlachectwo i znaczny majątek położony na Wołyniu, - wyjaśnia O. Cz. Drążek w książce o O. Bezymie pt. „Posługacz trędowatych”.

Mały Janek wraz z trzema braćmi Kazimierzem, Pawłem i Aleksandrem oraz siostrą Zofią, początkową naukę pobierał w domu. Edukacja ta zaowocowała później rzetelnym poczuciem obowiązku, pracowitością, ogromną życzliwością, chęcią niesienia pomocy innym a także głębokim patriotyzmem.

Wybuch powstania styczniowego i związane z tym represje, zaciążyły poważnie na losach całej rodziny. Ojciec biorący udział w powstaniu styczniowym musiał uchodzić do Galicji, a następnie tułać się po świecie. Na Wołyń już nigdy nie powrócił, ponieważ tam zaocznie skazano go na karę śmierci. Majątek Bezymów został zniszczony i rozgrabiony. Wkrótce też uległ likwidacji. Matka wraz z dziećmi schroniła się na Podolu u swojej siostry Władysławy Górskiej, zamieszkującej w Hedziach. Dla Janka rozpoczął się trudny okres jego dzieciństwa i młodości. Pragnął gorąco, aby jego rodzina nie cierpiała głodu a matka mogła wykształcić młodsze rodzeństwo. Dlatego też podejmował najcięższe nawet prace, a ponadto udzielał korepetycji, przepisywał urzędowe akta. Wyjątkowo piękny portret duchowy Janka z owego okresu rysuje się we wspomnieniach rodzinnych. Wszyscy podkreślają jego niezwykle cechy charakteru szczególnie wyróżniające chłopca spośród grona młodzieży.

W 1864 r. przyszły misjonarz zaczął uczeszczać do gimnazjum w Kijowie. Po ukończeniu siedmiu klas gimnazjalnych Janek przez rok pomagał w prowadzeniu gospodarstwa swemu wujowi Steckiemu. Ten rok bardzo ciężkiej pracy w Sledziach wspomina później w swych listach jako najpiękniejszy okres

młodości. W 1872 r. postanawia bez względu na grożące mu konsekwencje spotkać się ze swoim ojcem. Marzenie to spełnia się. W chłopskim przebraniu przekracza granicę rosyjsko—austriacką i dociera do Porudna. Widzi ojca po ośmiu latach bolesnej rozłąki. W serdecznej rozmowie z ojcem wyjawia swe gorące pragnienie — chce zostać misjonarzem. Nie była to decyzja łatwa, chociaż głęboko przemyślana, bo poprzedzona wieloma długotrwałymi rozterkami, ale było to już postanowienie ostateczne.

Jak pisze ks. Cz. Drażek: „... łaskę powołania do kapłaństwa postanowił Janek zrealizować ostatecznie w Towarzystwie Jezusowym. Nie wiemy dokładnie, co skłoniło chłopca do wyboru zakonu, ale wydaje się, że krok ten uczynił pod wpływem sugestii ojca, który utrzymywał bliskie kontakty z jezuitami. Jedyna córka pana Bezymia, Zofia, wychowała się w internacie sercanek we Lwowie pod okiem jezuitów, a najmłodszy syn Aleksander pobierał nauki w ich konwiktach w Tarnopolu. Nic więc dziwnego, że pan Bezym bywał częstym gościem w domach Towarzystwa, interesował się pracą zakonu, a kiedy dostrzegł budzące się powołanie syna, podsunął mu myśl wstąpienia w szeregi towarzyszy św. Ignacego Loyoli. Nie chcąc jednak narzucać Jankowi swojej woli, robił mu początkowo trudności, zamierzał ożenić go z jedną z córek Steckich, ponieważ jednak syn nalegał, wyraził swoją zgodę. Sam pojechał z Jankiem do Starej Wsi koło Brzozowa, gdzie znajdował się dom nowicjatu.

cdn.



Wychowanie dzieci to trud długi i mozolny. Powiedział jednak ktoś, że człowiek uczy się do końca życia ...

Być może opowiadania, podobne temu, które zamieszczamy poniżej postużą jako środek do „poprawy” także dorosłych.

CZARODZIEJSKIE SŁOWO

Malutki staruszek o długiej, siwej brodzie siedział na ławce i końcem parasola kreślił na piasku jakieś znaki.

— Niech się pan posunie — powiedział Pawełek i przysiadł na końcu ławki.

Staruszek posunął się, spojrzął na czerwona, nadąsaną twarz chłopczyka i powiedział:

— Coś ci się przydarzyło...

Pawełek rzucił spojrzenie z ukosa.

— No to co? A panu co do tego?

— Mnie nic do tego. Ale, jak widzę, przed chwilą krzyczałeś, płakałeś i kłóciłeś się z-kimś.

— I jak jeszcze! — odburknął gniewnie Pawełek. — Na pewno niedługo zupełnie z domu ucieknę.

- Uciekniesz?

- Ucieknę. Choćby przez Zośkę ucieknę. - Tu Pawełek zacisnął pięści. - O mały włos nie pobiłem się z nią teraz. Ani jednej farby nie chce dać. A sama ma ich tyle!

- Nie chce dać? Ale z tego powodu uciekać nie warto.

- Nie tylko przez to. Babcia za jedną marchewkę wypędziła mnie z kuchni... po prostu ścierką wypędziła!

Pawełek aż sapał z oburzenia.

Głupstwo! - powiedział staruszek. - Jeden cię skrzyczy, a drugi pogłaszcze.

- Nikt mnie nie pogłaszcze! - wykrzyknął Pawełek. - Brat łódką ma jechać, a mnie wziąć ze sobą nie chce. Ja mu mówię: lepiej weź mnie, bo i tak się nie odczepię, zabiorę wiostą i sam do łódki wleżę.

Pawełek uderzył pięścią w ławkę i nagle umilkł.

- No i cóż? Brat nie chce cię zabrać?

- A dlaczego pan o wszystko pyta?

Staruszek pogładził długą brodę.

- Pragnę ci pomóc. Jest takie jedno czarodziejskie słowo.

Pawełek aż usta otworzył.

- Powiem ci to słowo. Ale pamiętaj: trzeba je mówić cichym głosem, patrząc prosto w oczy temu, do kogo mówisz. Zapamiętaj: cichym głosem, patrząc prosto w oczy...

- A jakie to słowo?

Staruszek pochylił się do ucha chłopca. Jego miękka broda dotknęła policzka Pawełka. Staruszek szepnął mu coś i głośno dodał:

- To jest czarodziejskie słowo. Ale nie zapomnij, w jaki sposób je trzeba powiedzieć.

- Spróbuję - uśmiechnął się Pawełek - zaraz spróbuję.

Zerwał się i pobiegł do domu.

Zosia siedziała przy stole i rysowała. Przed nią leżały farby zielone, niebieskie, czerwone. Na widok Pawełka zgarnęła je natychmiast i nakryła dłonią.

„Oszukał mnie staruszek - pomyślał ze złością chłopiec. - Czyż ona zrozumie czarodziejskie słowo?”

Zbliżył się z boku do siostry i pociągnął ją za rękaw. Siostra obejrzała się. Wtedy, patrząc jej w oczy, chłopiec powiedział cichym głosem:

- Zosiu, daj mi jedną farbę... proszę cie...

Zosia otworzyła szeroko oczy. Palce jej przestały ścisnąć farby i zdej-

mując rękę ze stołu, bąknęła zmieszana:

– Jaką chcesz?

– Ja bym chciał niebieską – powiedział nieśmiało Pawełek.

Wziął farbę, potrzymał ją w dłoni, przeszedł się po pokoju i oddał farbę siostrze.

Niepotrzebna mu była farba. Myślał teraz tylko o czarodziejskim słowie.

„Pójdę do babuni. Właśnie coś gotuje. Wypędzi mnie czy nie?”

Pawełek otworzył drzwi do kuchni. Staruszka wyjmowała właśnie z brytfanny gorące pierożki. Wnuk podbiegł do niej, objął i zwrócił ku sobie jej zarumienioną, pomarszczoną twarz, spojrzął w oczy i szepnął:

– Daj mi kawałek pierożka... proszę cię...

Babunia wyprostowała się.

Czarodziejskie słowo promieniowało z każdej zmarszczki na jej twarzy, z oczu i z uśmiechu.

– Cieplutkiego, cieplutkiego zachciało ci się, gołąbku mój! – powiedziała i wybrała najlepszy rumiany pierożek.

Pawełek aż podskoczył z radości i ucałował babunię w oba policzki.

– Czarodziej! Czarodziej! – szeptał do siebie wspominając staruszkę.

Przy obiedzie Pawełek siedział cicho i przysłuchiwał się każdemu słowu brata.

Kiedy brat powiedział, że pojedzie łódką, Pawełek położył mu rękę na ramieniu i po cichu poprosił:

– Weź mnie ze sobą ... proszę cię ...

Przy stole od razu wszyscy zamilkli. Brat podniósł brwi do góry i uśmiechnął się.

– Zabierz go – powiedziała naraz siostra. – Cóż ci to szkodzi?

– Dlaczego byś nie miał zabrać? – uśmiechnęła się babcia. – Naturalnie, zabierz go.

– Proszę cię – powtórzył Pawełek.

Brat roześmiał się głośno, poklepał chłopca po ramieniu, zwichrzył mu włosy.

– Ech, ty podrózniku – No, dobrze, przygotuj się.

Pomogło! Znowu pomogło!

Pawełek zerwał się od stołu, wybiegł na ulicę. Ale na skwerze nie znalazł już staruszka. Ławka była pusta. Tylko na piasku widniały nakreślone niezrozumiałe znaki.



W kronice tej będziemy zamieszczać co ciekawsze informacje dotyczące życia Kościoła i Towarzystwa w naszym kraju i na całym świecie.

STATYSTYKA TOWARZYSTWA JEZUSOWEGO

Najnowsza statystyka Towarzystwa Jezusowego wykazuje, że z końcem 1984 r. było na świecie 25 548 jezuitów; w tym 18 455 kapłanów, 3 684 kleryków i 3 410 braci.

Ilość jezuitów nieznacznie maleje, gdyż liczba zgonów przewyższa przyrost, ale ubytek ten zmniejsza się: w r. 1971 wynosił 3,15 proc., zaś w 1984 tylko 0,68 proc.

Rośnie liczba wstąpień do zakonu: w 1984 – 616 nowicjuszy, ogólna liczba nowicjuszy wynosi obecnie 1089. Najwyższy wzrost zakonu jezuitów zaznacza się w Afryce, w Indonezji, w Indiach oraz w Polsce.

JEZUICI W AFRYCE

Obecnie w Afryce pracuje 1 100 jezuitów w 25 krajach. Jedna trzecia to tubylcy, a reszta pochodzi z innych kontynentów. Pierwszych jezuitów wysłał do Afryki św. Ignacy, założyciel zakonu. Obecnie kierują oni 18

szkołami średnimi, mają dziesięć domów rekolekcyjnych, 4 ośrodki społeczne, liczne parafie miejskie i wiejskie. Mamy w Afryce nowicjaty. We wrześniu ubiegłego roku w mieście tegorocznego Kongresu Eucharystycznego Nairobi w Kenii rozpoczął działalność nowy Fakultet Teologiczny Towarzystwa, przeznaczony przede wszystkim dla asystencji Afryki i Madagaskaru. Egzegezę wykłada tam nasz ojciec Józef Liber, który skończył studia w Rzymie. Oficjalne otwarcie Fakultetu *Hekima College* nastąpiło w sierpniu tego roku.

KATOLICY W ŚWIECIE

Obecnie żyje na świecie 800 milionów katolików. Z tego na Amerykę Łacińską przypada 330 milionów, na Afrykę 60 milionów i na Azję 69 milionów. Dane te podał kard. Józef Hoeffner przy okazji sprawozdania z działalności bilansowej organizacji zachodniemieckiej „MISSIO”. Przekazała ona w 1983 roku do dyspozycji Papieskim Dziełom Misyjnym 173 miliony marek. Gwałtowny rozwój kościoła w Afryce spowodował, że kontyngent ten stał się głównym przedmiotem wysiłków organizacji „MISSIO”.

JEZUICKA SŁUŻBA UCHODŹCOM – JRS

Jezuicką służbę uchodźcom (Jesuit Refugee Service – JRS) powołał do życia ojciec generał Pedro Arrupe w grudniu 1980 r. Tysiące „ludzi na łódkach” – uchodźców z Wietnamu znalazło się w skrajnej nędzy. Bez dachu nad głową, bez perspektyw, bez podstawowych warunków do życia, bez opieki. Ludzie, dla których nie ma miejsca na świecie. Ojcu generałowi, który dokonał gruntownego rozeznania, słusznie się wydało, że na mocy Konstytucji Towarzystwo zobowiązane jest do zajęcia się tą sprawą. Centrala JRS znajduje się w Kurii Towarzystwa w Rzymie. A oto jej cele: rozwijanie kontaktów w Towarzystwie po to, by pracę nad uchodźcami można lepiej planować i koordynować; zbieranie potrzebnych informacji; pośredniczenie pomiędzy potrzebującymi pomocy i jej udzielającymi; uczulanie Towarzystwa na doniosłość samego zagadnienia; kierowanie

uwagi Towarzystwa na te rejony i grupy, o których mało się mówi i które znikąd nie otrzymują pomocy; zachęcanie jezuitów do publikacji na ten temat i do poszukiwań przyczyn tego fatalnego zjawiska (por. AR XVIII, I, s. 319, 1980). Od niedawna wychodzi biuletyn pt. „Diakonia”, w którym umieszczane są wiadomości o pracach podejmowanych przez JRS Ojciec Raper jest jego redaktorem. Tenże ojciec pisze w biuletynie z dnia 17 sierpnia tego roku następująco: „Uchodźcy z Indochin stanowią główny przedmiot wysiłków Jezuickiej Służby Uchodźcom. W Tajlandii bądź na granicy kambuczańsko-tajlandzkiej, w obozach dla uchodźców, znajduje się obecnie 400.000 Khmerów, Laotańczyków i Wietnamczyków.

W pierwszych obozach dla uchodźców rozsiansych wokół Południowo-Wschodniej Azji znajduje się teraz około 43.000 Wietnamczyków, „ludzi z łodzi” (uciekają najczęściej małymi łodziami, narażeni na wszystkie niebezpieczeństwa podróży przez niespokojne wody oceanu). Wielu uciekinierów nie chce się osiedlać w innych krajach, ale oczekuje na jakies polityczne rozwiązanie. Morale w tych obozach jest niskie, gdyż perspektywy osiedlenia są dalekie.

W Malezji znajduje się np. 2600 młodych ludzi, których nie chce przyjąć żaden kraj. Oczekują oni, że ich sprawa zostanie ponownie wzięta pod uwagę. Pracownicy JRS starają się dopomóc rozwiązać ten bolesny problem.

Na granicy kambuczańsko-tajlandzkiej, mimo zakończenia walk, 70.000 ludzi zgromadzonych w obozach musiało się przesiedlać na skutek ostrze-liwania artyleryjskiego...

Papież Jan Paweł II odwiedził w połowie maja, zatrzymując się w Tajlandii na 30 godzin, obóz Phanat Nikhom. Mówił, że uchodźcy są przedmiotem jego szczególnej troski. Wezwał rząd tajlandzki, dyplomatów i przywódców religijnych, by zajęli twarde i politycznie świadome stanowisko w obliczu potrzeb i praw uchodźców.

Ojciec Marek Raper wysyłając trzeci zeszyt biuletynu „Diakonia” tak pisze: „Oto trzeci numer, który podaje więcej wiadomości o naszych braciach i siostrach rejonu Azji i Pacyfiku. Potrzebujemy bardzo waszych modlitw i solidarności w tej nowej pracy”.



*Życie samo dostarcza niezliczonych powodów do refleksji i medytacji.
Wiele okazji zostaje niewykorzystanych ponieważ zabiegany tryb życia,
mnóstwo różnych spraw stają nam na przeszkodzie.
A jednak trzeba się czasem zatrzymać, pomyśleć, pomodlić się.
Jeszcze jedna okazja więcej, może zostanie wykorzystana.*

JESIENNA REFLEKSJA

Czy usiadłeś kiedyś na skraju lasu w porze jesiennej? Dopiero co skończyło się lato – gorące, pełne życia dni. Słońce dyskretnie zaznacza swą obecność: leniwie snuje się po niebie, jakby mu przestało zależeć na ziemi... Słychać szum wiatru. Ten niespokojny zwiastun zapowiada nadejście deszczowych i trochę smutnych dni. Wcześniej jednak postrąca bezbronne liście z drzew. ... Wszystko ma swój czas, i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem: jest czas rodzenia i czas umierania, czas sadzenia i czas wrywania tego, co zasadzone (Koh 3,1-2). Przecież jeszcze nie tak dawno rozpoczynała się wiosna, a już jesień...

Mimoходом przychodzi refleksja o przemijaniu. Choć przez chwilę cieszy serce czerwona jarzębina, delikatny śpiew ptaków, cykanie świer-

szczy, to jednak z pewną nostalgią myślimy, że to kolejna jesień w naszym życiu... Może jesteś jeszcze młody, a może przeżywasz jesień swego życia i twoja myśl coraz częściej powraca do tych, co odeszli do Pana po wieczną nagrodę, by cieszyć się owocami swego życia.

Panie, kieruję swoją myśl do moich znajomych, którzy już nie żyją. Jest ich tak wielu: dziadkowie, mój ojciec, matka chrzestna, sąsiedzi, katecheta oraz bardzo mi drogi Ojciec Norbert. Myślę o śmierci nie po to, żeby posmutnieć, lecz bym lepiej odkrył cenę i wartość życia. „Wpajałem w ludzi wrażliwość na śmierć. I nie żałowałem tego, bo dzięki temu stawali się również wrażliwi na życie” (Antoine de Saint-Exupéry).

Jak zawsze i w tym roku, pójdę nawiedzić groby, by modlić się za zmarłych, za tych, co odeszli. Wierzę, że są z Tobą, Panie Jezu; że nadszedł dla nich czas zapłaty. Otwieram Pismo święte i czytam ostatnie zdanie: „Zaiste, przyjdę niebawem . Amen. Przyjdź, Panie Jezu!”

ks. Marek



Modlitwy idą i wracają – nie ma nie wysłuchanej, pisał Cyprian Norwid.
Niech te modlitwy pomogą w osobistym spotkaniu z Bogiem i ludźmi.

MONOLOG

*Modlitwy idą i wracają – nie ma nie wysłuchanej.
Dlatego wszystkie wysłuchane, że każda zwraca się na powrót.
A dlatego powraca każda z modlitw, że wszystkie są z Miłości.
Kto pracował na Miłość, ten z miłością potem pracować będzie.
To jest szczęściem prawdziwym – Tutaj innego szczęścia nie masz.
Wszelka rozkosz przyjaźni tym jest.
Wszelkie zadowolenie i pewność siebie tym jest.
I wszelki spokój tym jest.*

Cyprian Norwid

Jesteśmy odpowiedzialni za świat

*Panie, nasza ziemia jest tylko niewielką gwiazdą we wszechświecie.
Od nas zależy, czy uczynimy z niej planetę,
której mieszkańców nie będzie nękał głód i strach,
nie będzie rozdzielał bezsensowny podział według rasy,
koloru skóry, poglądu na świat.
Daj nam odwagę i umiejętność przewidywania,
abyśmy już dziś podjęli to dzieło
i aby nasze dzieci i nasi wnukowie mogli kiedyś z dumą
nosić imię człowieka.*

(Modlitwa ONZ)

Modlitwa św. Ignacego Loyoli

*Weź, Panie, i zabierz całą moją wolność, moją pamięć, mój rozum
i całą moją wolę, wszystko to, co posiadam.
Ty mi to dałeś, i Tobie, Panie, to oddaję.
Wszystko jest Twoim, dysponuj tym według Twojej woli.
Daj mi Twoją Miłość i łaskę, a to mi wystarczy. Amen.*

Modlitwa o beatyfikację O. Jana Beyzyma

*Boże miłosierdzia i Ojcze wszelkiej pociechy!
Ty przez służbę swego Jana Beyzyma
okazywałeś miłosierdzie i pocieszenie
najniezwyklejszym spośród nieszczęśliwych,
opuszczonym i odepchniętym,
odgrodzonym od społeczności ludzkiej
murem lęku i pogardy.
Przez twoje miłosierdzie w nim okazane
i przez jego wstawiennictwo
uczyn nas narzędziem twojej opatrności,
dobroci i pocieszenia dla wszystkich,
którzy tego potrzebują.
A jeśli woli twojej nie jest to przeciwne,
racz go zaliczyć do grona swych błogosławionych,
nam zaś udzieli łaski...,
o którą Cię ufnie prosimy
dla twojej chwały i naszego dobra
przez Chrystusa Pana naszego. Amen.*

**Periodyk redagowany przez zespół Księży
Jezuitów pod redakcją Stefana Mordarskiego SJ.
Ul. Kopernika 26, 31-501 Kraków**

CO ZNACZY BYĆ JEZUITĄ według pierwszych jezuitów w historii.

„Ktokolwiek w naszym Towarzystwie, które pragniemy naznaczyć imieniem Jezusa, zechce walczyć pod sztandarem Krzyża dla Boga i służyć samemu Panu oraz Jego Zastępcy na ziemi, biskupowi rzymskiemu, ten winien po złożeniu uroczystego ślubu dożgonnej czystości dobrze sobie uświadomić, że jest członkiem Towarzystwa, którego głównym celem jest przyczyniać się do postępu dusz w życiu i nauce chrześcijańskiej, do szerzenia wiary przez publiczne kazania, posługę Słowa Bożego, Ćwiczenia Duchowne i dzieła miłości, a w szczególności przez nauczanie religii chrześcijańskiej dzieci i ludzi niewykształconych oraz niesienie pociechy duchowej w słuchaniu spowiedzi wiernych. Ma się troszczyć o to, żeby na pierwszym miejscu mieć zawsze przed oczyma Boga, a następnie sposób życia swego Instytutu, który jest pewnego rodzaju drogą do Niego, oraz żeby osiągnąć wszelkimi siłami ten cel ukazany mu przez Boga. Jednakże każdy ma osiągnąć ten cel w miarę udzielonej mu łaski przez Ducha Świętego i według własnego stopnia powołania (a to dlatego, żeby nie kierować się przypadkiem gorliwością bez rozeznania)...

I dlatego ci, którzy zamierzają do nas się przyłączyć, zanim tego rodzaju ciężar zobowiązań wezmą na swe barki, niech długo i usilnie rozważają, czy mają wystarczający kapitał duchowy, aby móc według rady Pańskiej doprowadzić do końca budowę tej wieży; innymi słowy, czy Duch Święty, który ich pobudza, obiecuje im tyle łask, aby mogli mieć nadzieję, że z Jego pomocą udźwigną ciężar tego powołania. A skoro z natchnienia Pana zaciągną się w te szeregi żołnierzy Jezusa Chrystusa, muszą, 'mając dniem i nocą biodra przepasane', być gotowi do wypełnienia tego tak wielkiego zobowiązania”.

(Z Formuły Instytutu Towarzystwa Jezusowego - 1540 r.)